Ner 16. Kraków, 22go Kwietnia. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

O NAUCZYCIELKACH DOMOWYCH.

Stanowisko nauczycielki domowej, guwernantki, jest nader trudnem, niekiedy i na współczucie zasługującem. Są to zwykle osoby młode, z dobrem domowem wychowaniem, a bywają pomiędzy niemi i takie, które w dzieciństwie swojem, w domu rodziców dość zamożnych, ani przypuszczały, że później tego rodzaju czekają ich obowiązki, przeto z początku trudno takiej osobie i ciężko do zależności w obcym nawyknąć domu i samej na chleb powszedni pracować. Lecz niechaj sobie powie: że wysługujemy się wszyscy, jedni drugim, od najwyższych aż do najniższych; że w porządku społecznym wszystkich jeden łańcuch wzajemnej wiąże zawisłości. Przedewszystkiem zaś niechaj w duszy wyrzecze swojej: że pięknemu i szlachetnemu poświęciła się zawodowi; niechaj podejmie religijną, chrześciańską stronę tego zadania; niechaj to czyni z miłością, a nie jako rzemiosło: byle zbyć! — a w sumiennem wypełnianiu obowiązków swoich znajdzie wewnętrzne, wielkie zadowolenie — uznania drugich jej zasług i trudów, sprawiedliwą stanie się dla niej nagrodą.

Dzisiaj nader jest rzadko, ażeby w którym domu nie umiano guwernantki uszanować, i matka powinna ją tak postawić, by dzieci szanowały i kochały swoją nauczycielkę. Broń Boże, w obecności dziecka, którą z wad jej wytknąć miała, gdyby na to i zasługiwała — bo przez to zgorszy córeczkę swoją; broń Boże, by przy dziecku jej drobiazgowe przywary i pretensye wyśmiewać miała. Niechaj dzieci nic o tem nie wiedzą, i w razie niezgodnego jej humoru, i wad dopatrzonych, raczej z nią wcześnie rozbrat zrobić. Dzieci, oczywiście, chętnie takich uwag posłuchają, potakną od razu, zaczną różne na nią ploteczki znosić i wyśmiewać się z tej, którą szanować winny. Takie postępowanie skazi nadzwyczaj charakter dziecka, bo nawyknie za oczami obgadywać i przedrzeźniać, a w oczy pochlebiać: udawać szacunek i przywiązanie, gdy jednego i drugiego wcale nie ma.

Niewłaściwie jest także, gdy rodzice znowu w drugą ostateczność wpadają, i nauczycielkę honorują zbytecznie: gdy jej niemal pierwsze naznaczają miejsce, do niej odnoszą się we wszystkiem i kaprysom jej podlegają, które niekiedy dopiero ich własna przyczyna w młodej a niedoświadczonej zrodzi osobie. Bo nabierze zarozumienia, i wymagania jej z dniem każdym zwiększać się będą; zrodzą się wreszcie kwasy, wstręt, niezgoda, i złe rozstanie się sprowadzą. Guwernantka sama na to dbać powinna i nie przekraczać tej ściśle wymierzonej granicy: uważać siebie zawsze, jako zależną, z zachowaniem godności własnej; nie dozwalać sobie ubliżać, ale też nie ubliżać nikomu; nie przesadzać się w grzecznościach, ale i nie być impertynentką.

Niechaj przez pochlebstwo nie stara się o względy pani domu, bo to nad wszelki wyraz ubliża charakterowi, zwłaszcza też jako nauczycielce, i stawia ją nader nisko, ile że na tem poznają się łatwo. A lubo, że położenie jej jest zawisłem, to wszelako nie o tyle, ażeby je czemś niegodnem okupywać miała: pod tym względem jest niezależną. Niechaj nie stanie się oskarżycielką domowników, donosicielką, by za to na nią łaska pani spłynęła, bo wówczas zejdzie na stopień służebnictwa, czego nigdy a nigdy być nie powinno. W końcu, niechaj także i ze służbą domową stanie na właściwej swej godności stopie.

To co powyżej powiedzianem zostało, zdarza się zapewne nie często, ale zdarza się wszelako. Z początku młoda i niedoświadczona osoba bywa niekiedy przez stósunki domowe popychana ku skreślonemu wyżej, nagannemu postępowaniu, w co potem wdroży się niepostrzeżenie i ani się zastanowi nad brzydotą tego co czyni.

Nauczycielka domowa niepowinna także pomiędzy uczennicami swojemi żadnej czynić różnicy: nie mieć *faworytki* — nie obsypywać jednej pochwałami a przyganiać drugiej — i zawstydzać ją w obec współuczennic, a gorzej jeszcze w obec osób obcych, bo przez to roznieci nienawiść i zazdrość w młodych sercach. Niepowinna chwalić żadnej z urody, wdzięku, powabu, zręczności i innych darów natury, bo to drugie podrażni. Jeżeli która z uczennic ma więcej zdolności i zamiłowania do nauk, a druga jest tępą umysłowo, niechaj to rodzicom jedynieli powie; jeżeli którą o lenistwo i niedbalstwo oskarża, to niechaj nie nastąpi w obec jej współuczennic, ale tylko w obec rodziców, ażeby jej nie drasnąć i wstrętu nie obudzić: ażeby drugim niewłaściwego nie sprawić tryumfu.

P. W.

MARYNA MNISZCHÓWNA.

(Dalszy ciąg).

V.

W pięknej okolicy podgórskiej, na tle prześlicznego krajobrazu natury, wznosił się zamek Laszki murowane *) nazwany, siedziba bogatej i znakomitej ro-

*) *Laszki murowane* koło Fulsztyna. Był to gmach wielki, zniesiony dopiero około 1820 — 25 r., gdy od Mniszchów Serboni nabył majątek. Z zamku zniesionego sprzedano dachówkę i cegły. Chyrów bliskie miasteczko kupowało dachówki, nawet i portrety historycznych ludzi za bezcen. W okolicy znalazł Wincenty Smagłowski dokumenta z małą i wielką pieczęcią cara i carowej, i o ile mi wiadomo, odstąpił Ks. Jerzemu Lubomirskiemu na rzecz zakładu narodowego imienia Ossolińskich.

dziny Mniszchów. Rodzina ta pieczętowała się herbem „z Wielkich Kończyc“, który to herb według Bart. Paprockiego, „przyniesion z Czech albo z Morawy przez Mikołaja Mniszcha za panowania Zygmunta I. Te wielkie Kończyce leżą od Frysztaku półtory mili, w których jest zamek murowany.“ Niedawno więc bo od czasów Zygmunta Igo zajaśniało imię Mniszchów w Polsce, a pierwszy szczepu tego u nas protoplasta wielkiemi u króla łaskami się już szczycił. Gdy bowiem ten Mikołaj Mniszech niechęcią cesarza Ferdynanda prześladowany, mimo wstawiań się Zygmunta, nie mógł inaczej od niej się uwolnić, jak tylko schronieniem się w Polsce, „wziął go król do komory swojej na najprzedniejszego podkomorzego. Na temże miejscu był u króla Zygmunta wtórego, i z wielkiemi domy się spowinowacił. Umarł 1553. Ciało jego leży w Krakowie na zamku.“ Zostawił z Kamieniecką, córką wojewody ruskiego i hetmana koronnego: „trzech synów i dwie córce *): Helżbietę Stadnicką, Barbarę Firlejową wojewodziną krakowską; Jana, starostę krasnostawskiego, (miał za sobą Firlejównę z domu Lewart, wojewody krakowskiego córkę, z którą zostawił syna Mikołaja), *Jerzego*, który był za panowania Zygmunta Augusta krajczym koronnym i starostą sanockim, za panowania króla Stefana kasztelanem radomskim, i Mikołaja, który z Działyńską zostawił potomstwo. Jerzy Mniszech, który młodość swoję na dworze Zygmunta Augusta spędził, będąc używanym do ważnych posług publicznych i tajnych poleceń, który nareszcie od Zygmunta IIIgo województwem sandomirskiem udarowanym został, między licznem potomstwem synów i córek miał jednę piękną i uroczą dziewę, której na imię było Maryna. Chowana w tak dostojnym domu pod okiem kochającego ją nad wszystko ojca i zacnej a pobożnej matrony, matki Tarłównej (chorążanki sandomirskiej), jako też pod dozorem i szczególną opieką księdza Jezuity, rosła Maryna, jak śliczny kwiat na polskiej ziemi zeszły, bogacąc duszę najwznioślejszemi uczuciami: prawdziwą wiarą, ślepem posłuszeństwem dla rodziców, i miłością dla całego rodzeństwa. Zamek ojcowski, okolica, w której się tenże wznosił, w ogóle piękne i urocze życie natury, które Maryna umiała sercem pojąć i uczuć, były dla niej największą pobudką do tem głębszego uczucia Wszechmocy Stwórcy, i podziwu Jego nieograniczonej wielkości. I bawiła się swobodna Maryna w swem dziecięctwie rozkosznie, ochoczo, wesoło; jednak już w tej zabawie na jej pogodnem obliczu jawiła się jakaś natrętna chmurka niepokoju, oczy Maryny wznosiły się ku niebu, jaśniejąc krwawo, boleśnie — i choć sobie tych chwil, tych chmurek nigdy i niczem wytłomaczyć nie umiała, czuła jednakże w sobie już wtedy jakąś różnicę od reszty swych towarzyszek, które się nigdy o taki niepokój nie skarżą, którym nigdy chmurka nieprzerywała wesołych uciech zabawy. Bogate ojcowskie sady „gdzie owoców i murawy siła, kaplice z grobami Mniszchów(?), gdzie dzwony tak smętne, gdzie modlitwa tak powabna za duszę przodków i szczęście rodziców“; oto były najmilsze zakątki pobytu Maryny, w nich czuła się najszczęśliwszą; bo gdy śród pięknej stanęła murawy i niebo rzewnie do niej się rozśmiało, uczuła wtedy z dumą w swojej duszy, że ten świat piękny, ta cudna murawa, to niebo jasne — że to wszystko dla niej, uczuła, że ona jest tylko panią po nad całem życiem tej okolicy, którą swojemi oczy objęła. A w grobach przodków szczycąc się ich zasługą w kraju, znowu się nową, już nie tak poetyczną rozkoszowała dumą; tu odgadywała w ciemnych tablicach marmuru przyszłą świetność swojego rodu i była znowu dumną z tego, że należy do rodziny takiej, którą według jej marzeń czekają zaszczyty. Po tej drodze marzenia i samotności postępując Maryna, obok najuczciwszych zasad wpojonych w nią przez rodziców i świątobliwego kapłana, wyrobiła w sobie to jakieś chorobliwe usposobienie smętności i coraz wzrastającą żądzę odznaczenia się między towarzyszkami, którą to żądzę najwłaściwiej dumą, czyli źle użytą ambicyą nazwać możemy.

*) Liczba podwójna dawna, dziś nieużywana oprócz w wyrażeniu: dwie ręce. P. A.

VI.

Pięknie i uroczo wygląda świat w Laszkach murowanych. Potęga wiosennej piękności rozwinęła liście drzewom, ubarwiła murawy kwiatami i rozpuściła po powietrzu najrozkoszniejszą woń życia wskrzeszonego gorącem słońca — woń niedającą się z żadnym balsamem porównać — woń wiosennej, rozkosznej natury. To maj. W zamku gwarno; krzątają się od rana; dworzanie po cichu szeptają między sobą: wielki gość jakiś zawita w nasze progi. Komnaty gościnne przepysznemi obito makatami, łoże wysłano jakby samemu królowi, a kucharz od rana łamie sobie głowę nad sztucznem a gustownem przystrojeniem stołu do uczty, o której mu sam pan Mniszech zalecił „aby była wspaniała“.

A cóż Maryna? Maryna szczęśliwa bo wiosna na świecie! Biega po sadach ojcowskich, połykając skwapliwie to życie, jakiem tam każda trawka oddycha; tylko jej teraz jakoś częściej ta chmurka osiada na czółku, serce jakimś przyspieszonym ruchem czasem uderzy, a gdy się w zwierciedle spokojnej szyby stawu przeglądnie, której figlarna łastówka swą białą piersią nie stłukła, wtedy widzi na twarzy swej białej zwykle jak alabaster, dwa nieznane jej słowa, różową napisane tam barwą, któremi się znów niepokoi, i które znowu uderzenie jej serca przyspieszają.

A w zamku gwarno. Maryna tam ma swoją własną, osobną komnatę, milutką, rozkoszną, dziewiczą. W niej siada przy oknie na czarowny świat górski patrząc podparłszy rączką główkę, duma i marzy. A o czemże duma? A o czemże marzy? O! Marynie wolno już dumać o wielu bardzo rzeczach, dziewiętnaście to już takich ślicznych przeżyła wiosen na świecie... Więc i wyglądać jej wolno z której strony świata Bóg jej nadeśle prawdziwie przyjacielskie serce, wolno wyglądać azali się gdzie nie czerni z daleka orszak wojennych rycerzy, azali na czele jego młody urodziwy i orężny bohater nie spieszy na rączym koniu do ojcowskiego zamku... Wolno jej dumać i marzyć dziś o tem, lecz Maryna nie zbyt często zaprząta sobie tem głowę.

A w zamku gwarno. Jest to dzień 25go maja r. 1604. Pan wojewoda zacierając z radości i nadziei ręce, szybkiemi kroki przemierza swoję komnatę. Dni temu kilka odebrał listy z Wołynia, a bardzo ważne listy, bo nad niemi długo w noc siedział myślący, listy od księcia Adama i Konstantego Wiśniowieckich. To byli jego krewni i dobrzy przyjaciele, (ich wielkie majątki przeszły wkrótce potem na Mniszchów), rady ich i propozycye, jakie się w owych listach znajdowały były szczere i życzliwe dla wojewody. Rady zaś te i propozycye odnosiły się, jak się zapewne każda z szanownych czytelniczek domyśliła, do Dymitra carewicza, którego książę Adam Wiśniowiecki zapoznawał ze wszystkiemi swojemi pokrewnemi. Skoro więc pan wojewoda Mniszech dowiedział się o prawdziwej godności Dymitra, skoro wyczytał w liście swego zięcia (Adama Wiśniowieckiego) wiadomość o jego odwiedzinach swego domu, ucie-

szył się niezmiernie, nakazał porobić stósowne przygotowania, aby tak dostojnego gościa godnie i z prezencyą domu przyjąć u siebie. I dla tego to tak gwarno na zamku. Lecz pan wojewoda nie o przyjęciu tylko uprzejmem Dymitra rozmyśla, większe daleko myśli krążą mu od serca do głowy, i rodząc w jego duszy coraz więcej nadziei i szczęścia, dziwną jakąś napełniają go radością. Już książę Adam pisał mu w liście wyraźnie, iż starać się nam o to wielce trzeba, o co się już i XX. Jezuici gorliwie starają, aby nasz carewicz królowi panu przedstawiony, jego łaskę i opiekę pozyskał. Wtedy łatwiej nam będzie dopomódz biednemu tułaczowi, który, gdy go do tronu przywrócim, niezapomni o swoich przyjaciołach w niedoli. „Do króla z nim, do króla!“ zawołał wtedy pan Mniszech i zatarł znowu ręce z zadowolenia, jak gdyby był najpewniejszym dobrego zakończenia tej sprawy. Król był już wprawdzie uwiadomionym o pojawieniu się Dymitra na dworze Wiśniowieckich, a to przez Jezuitów i nuncyusza apostolskiego kardynała Rangoniego, gdy jednakże i ci sami, którzy o tej nowinie donosili nie mieli całkowitej pewności, tem bardziej król nie mógł być niczego pewien. Mimo to atoli życzeniem Zygmunta IIIgo było, ujrzeć przed sobą Dymitra. W tym też celu książę Adam w dniu dzisiejszym wiezie wielkiego gościa do Mniszcha, aby go ztamtąd zaprowadzić przed króla.

I nadeszła nareszcie ta uroczysta chwila. Liczny orszak księcia zajechał na dziedziniec zamku wojewody, a sam pan wojewoda wyszedł naprzeciw tak znakomitego gościa i uprzejmemi ukłony go witał. W postawie, w ruchach i w mowie Dymitra było rzeczywiście coś wzniosłego, coś odróżniającego go od reszty zwykłych ludzi, a na twarzy jego malowały się szczególniej dwa wyrazistsze słowa, przeszłej niedoli i boleści, i obecnej wiary w Opatrzność i nadziei. A te dwa słowa dziwnie pięknie ucharakteryzowały przyjemne oblicze carewicza, a gdy dodamy że i młodość je swoim orzeźwiła urokiem, łatwo przekonamy wszystkich, że Marynie gość ten nie mógł być obojętnym. A jeśli głębiej w jej serce wejrzymy, jeżeli zechcemy odgadnąć najskrytszą tajemnicę jej serca, to powiemy nawet, iż taki tylko jak Dymitr, a nie kto inny, mógł być ideałem jej marzeń, iż takiego ujrzawszy w rzeczywistości, prawdziwie pokochać mogła. Dymitrowi też Maryna nie była obojętną, ale owszem, jak w jednym pamiętniku czytamy „silne na sercu jego uczyniła wrażenie“. Równocześnie więc w dwóch młodych sercach obudziły się silne uczucia, a że dusze ich, silnym obdarzone charakterem, stałością tylko do szczęścia zdążać miały, zawarło się więc niejako przymierze między nimi, iż wcześniej, czy później złączyć się ze sobą muszą. Widział to rozrzewniony szczęściem swej córki starzec, i „wyniosłość opanowała duszę jego“. Wierząc bowiem, iż przy pomocy króla, której był już prawie pewien, i przy dzielnem poparciu ze strony przyjaciół, Dymitr niezawodnie tron moskiewski pozyska — nie bacząc już na żadne względy serca, w którem wiek inne już poruszenia wygasił, dumnym był z swej nadziei. „Widzieć ulubioną córkę na tronie, być ojcem panujących, uczestnikiem bogactw i władzy ogromnego mocarstwa, wszystko to pochlebiało dumie starca.“

A Maryna? Maryna była kobietą... słabą, z natury pewnym rodzajem dumy przesyconą. — Ona sercem i czystą miłością pokochała Dymitra, a jeśli jego korona dodawała co blasku jej marzeniom, to jednak pewno, iż ta korona jedynie, niezdołałaby wydobyć z ust jej tego słowa, które właśnie nazajutrz uszczęśliwionemu Dymitrowi była dała. Miłość Maryny zrodziła się w jej sercu, jak śliczny kwiat bożą posiany ręką... miłość ta była polską, niewinną — że tyle nieszczęść biednej później sprowadziła, o to należałoby chyba obwiniać przeznaczenie.

VII.

W komnacie Dymitra zasiedli panowie do rady. Radzą o wojnie, o podróży do Krakowa, o posłuchaniu u króla. Wszyscy zapewniają carewicza o jak najpomyślniejszych skutkach jego usiłowań; powątpiewania co do prawdziwości jego osoby nie ma ani najmniejszego cienia. Wreszcie Dymitr zwraca się do Mniszcha i w serdecznych a szczerych słowach oświadcza mu swoje upodobanie w Marynie. Cieszy się starzec, łza radości i dumy zabłyska w jego oku — nie odmawia mu, lecz podaje taki warunek, iż z chęcią da mu swą córkę za żonę, lecz dopiero wtedy, gdy siędzie na tronie swego ojca. Dymitr uradowany tą odpowiedzią ciska się do nóg ojca najdroższej sercu swemu dziewicy, przysięga natychmiast zaślubić Marynę, skoro tylko Pan Bóg dozwoli mu wydarte prawa pozyskać. Następuje szczegółowsza umowa. Dymitr zapewnia Mniszcha, iż skoro zostanie carem i zaślubi Marynę, odda „jej na własność księstwa Wielko-nowogrodzkie i Pskowskie, ojcu zaś obiecał Smoleńskie i Siewierskie, oraz na koszta rocznie 1,350,000 rubli srebrem.“ Na tych finansowych układach zakończyły się obrady. Nazajutrz oświadczył się Dymitr Marynie i był od niej przyjęty. Pozostał jeszcze dni kilka u pana wojewody sandomierskiego, a przyczyną jego dłuższego, niż zamierzał pobytu, była śliczna Maryna, której urodzie napatrzyć się, a słów nasłuchać się dosyć nie mógł.

Zdarzyło się też, iż pewien sługa Mniszcha, będący jeńcem w Ugleczu, owem miejscu niebezpieczeństwa Dymitrowego, poznaje go i poświadcza że był prawdziwym carewiczem. A zdarzyło się to już nie pierwszy raz. Kiedy bowiem Dymitr odwiedził księcia Konstantego w Zułożu, w tymże samym czasie niejaki Piotrowski, sługa Lwa Sapiehy, kanclerza wielkiego litewskiego, do Zułoża przyjechał. Był on niegdyś jeńcem na Moskwie, za czasów jeszcze cara Iwana Wasilewicza; ten skoro postrzegł Dymitra, zaraz sobie przypomniał, że go znał, że mu nawet służył w Ugleczu; prosił jeszcze o pokazanie niektórych znaków na ciele, a gdy i te odkrył, już wszelka u przytomnych o prawdziwym rodzie carewicza zniknęła wątpliwość.

(C. d. n.)

Do Imionnika.

Naprzód życzenie dobre położę:
Tej białej książce błogosław Boże!
Niech na swych kartach zgarnie imiona,
Które promieni cześć zasłużona,
Każdy życzliwy wyraz tej karty
Niech z głębi serca będzie wydarty,
Niechaj myśl każda, co tutaj skryślą,
Będzie zbawienną i zacną myślą;
Byś w twoich chwilach doli, niedoli,
Czy sercu błogo, czy serce boli,
Czy ćma zwątpienia lata nad głową,
Miał z tej skarbnicy pomoc duchową;

Niech ci najlepszej rady udziela,
Bo to głos brata, głos przyjaciela.

Daj Bóg, powtóre, niech twoja księga
Białorusinów z Litwą posprzęga;
Niechaj u Dniepru, niechaj u Dźwiny
Będzie pamiątką twojej gościny,
I z Litwinami — tamtejszych braci,
Niechaj miłością spowinowaci,
Niechaj jej karty staną jak świadki,
Że jednej matki jesteśmy dziatki,
Że przestrzeń nie jest dla Lachów tamą,
Że nasze serca biją tak samo.

Nakoniec życzę, niech w twym albumie
Nie pisze wierszy każdy, kto umie,
Bo kara Boska mowa rymowa,
Gdzie pod końcówką tak myśl się schowa,
Tak się najlepsze uczucie zatrze,
Że przez mikroskop go niedopatrzę;
A jeśli czasem poeta który
Ruchnie pegazem z parnaskiej góry,
Puści na kartę końcówek roje,
Niech będą wiersze gładsze, niż moje.

Wł. Syrokomla.

KONKURY Z NUDÓW.

(Szkic z życia).

(Ciąg dalszy).

Ksawery zajechał, wszedł do wielkiego gościnnego pokoju, a nie widząc tamże nikogo, zaczął się zamyślony przechadzać. Kiedy tak chodzi tam i owdzie, słyszy nagle w sąsiednim pokoju jakiś trzask, jakby zgrabnego uderzenia w policzek, a wkrótce potem płacz, i surowe nie zbyt wybredne łajania. Nieprzyjemnie tem tknięty zaczął nadsłuchiwać, i usłyszał: „Tysiąc razy mówiłam ci tłomoku wstawaj wcześnie, ja twoja pani, a od 4ej już jestem na nogach.“ — „Ależ proszę pani, odezwał się na to głos zapłakany jakby wiejskiego dziewczęcia. „No, to zapewne zgryźliwa stara klucznica,“ pomyślał Ksawery, i znów się zaczął najspokojniej przechadzać. Ale w tem drzwi wiodące do owego pokoju z trzaskiem się otwarły, i jakaś panna z kluczami u pasa, w jednym ręku trzymająca talerz z próbką pszenicy, weszła rezolutnie. Zobaczywszy Ksawerego stanęła zdumiona chwilkę, a potem zapytała: „Czego pan sobie życzy? — Ksawery najpewniejszy, że stoi przed nim ów harpagon klucznica, odrzekł obojętnie: „To nie do aspanny należy — jest pan w domu?“ — „Jest w polu, i niedługo wróci — ale może i do mnie należy jako do córki,“ — „Do córki?“— krzyknął cały zelektryzowany Ksawery; wyprostował się jak trzcina, rzucił się jak szczupak ku pannie, i w tej chwili wypalił tysiąc przeproszeń i komplementów, godnych lepszego losu jakiego doznały, bo panna Katarzyna prawie nierozumiejąc tego wszystkiego, znów rzekła szorstko: „No już dosyć, dosyć, mnie już to nieraz spotkało — proszę siadać, jak ojciec powróci zaraz go tu poproszę“, i wyszła trzasnąwszy znów drzwiami. Po jej odejściu tak jak stał wymówiwszy ostatnie słowo, stał jeszcse, i byłby stał może ze dwa dni nieporuszony. Więc te preludia zakulisowe, które poprzednio słyszał, te słówka krótkie, żołnierskie wymówiła panna, o którą się starać przyjechał; i to jeszcze jakie słowa: „no już dosyć, dosyć“ — a potem trzasnęła mu drzwiami i powiedziała, że ojca przyszle. — Był to drugi cios na drodze jego żywota, który go rzeczywiście dotknął — zaczynał wątpić w ludzi, w ich serce, a nadewszystko w ich wychowanie, jeszcze wcale nie wątpiąc o sobie. Po raz pierwszy także uczuł jakiś strach przed tym stanem, do którego się tak lekko zabierał, wprawdzie strach niepochodzący z obawy narażenia szczęścia wybranej przez siebie istoty i swojego, ale tylko strach przed taką energiczną pannicą, jaką była panna Katarzyna, przed takiem bez ceremonii obejściem, a kto wie może i troszkę przed ową silną rączusią, której zgrabności dała mu przed chwilą dowody. Już się nawet decydował cofnąć bez chwały, niepomny czarnej ścigającej go mary Majerka Stajerberga i jego kommilitonów; ale już czasu niebyło, bo pan Wąsewicz wtoczył się do pokoju. Pan Wąsewicz miał duże blond wąsy, i to było jego fizyognomią, inszy najszczególniejszy opis przypomniałby zawsze tylko wielkie blond wąsy; był krępy, dość otyły, a ubrany z mieszczańska po wiejsku. Miał wielki sygnet brylantowy na palcu, do którego przywiązanych było kilka dykteryek, i to było jego szczególną odznaką, miał potężny w czasach najburzliwszych sejmików mogący być użyty głos, i to było jego najgłówniejszą w domu powagą. Widział on Ksawerego gdzieś na jednym z tych obywatelskich zjazdów, na których się dużo poznaje sąsiadów, ale przy obiedzie — a że pan Wasewicz lubił mieć dużo znajomych zwłaszcza używających pewnej prowincyonalnej renomy, więc też i Ksawerego słynącego w swoim rodzaju nie zapomniał. Przywitał go serdecznie, ucałował w oba policzki po 4 kroć, a jednym tchem wypowiedziawszy mu jak szacuje jego zacną mamę, którą zna jeszcze z dawnych czasów, gdy bywał u hrabiostwa Z. (podobno bywał jako ekonom dość często), jak kocha wszystkich młodych ludzi, zwłaszcza w dzisiejszym czasie, tak patrzącym na tychże, — obrócił się nagle i krzyknął: Wojtek! podaj wódki. Migiem wniósł Wojtek wódkę i zakąski, Ksawery nabrawszy otuchy z takiego przyjęcia, opowiedział szczerze swoje nieporozumienie z panną Katarzyną, i żal z tego powodu; ale pan Wąsewicz tylko machnął ręką, rzekłszy: „Nie dziw się kochany panie Ksawery, ona dla wszystkich taka.“ Rozmowa przeszła na inny przedmiot, na przedmiot najzwyklejszy. Ksawery niemogąc się doczekać panny, bo stary jej prosić nie kazał — wyjechał wcale nie kontent pomimo zaprosin p. Wąsewicza na częstsze bywanie. Za drugą razą widział pannę Katarzynę, ale nic z nią nie mówił, chociaż za to słyszał ją ciągle rozprawiającą o żniwach, lasach, łąkach, wypasach i t. p., — ale nic o ludziach lub o książkach. Za trzecią razą starał się do niej zbliżyć ciągle z jakimś strachem, — mówił jej długo o mieście, jego zabawach, o teatrze i balach, słowem próbował wszystkich stron które pomimo swej błahości dawały punkt do rozmowy; lecz panna Katarzyna wysłuchawszy wszystkiego arcynabożnie, często gęsto tylko poziewając odrzekła: „Że jest prawie pewna, iżby ją to wszystko śmiertelnie znudziło, i że woli szopkę na wsi niż wszystkie teatra.“ Ksawery się na to trochę zachłysnął, — ale przyjechał i czwarty raz, i piąty i szósty. Stracił zupełnie humor, pożółkł, spać nie mógł, tak go wstyd jadł, że z taką

prostaczką jeszcze do niczego nie doszedł, a tylko zabrnął w krążące o nim najśmieszniejsze pogłoski. Razu więc jednego, gdy panna Katarzyna skubała własnoręcznie pierze (ręczymy za autentyczność faktu), a Ksawery posuwać musiał od czasu do czasu duckę alias koszyk stojący jej przy nogach w tym celu, razu tego mówimy Ksawery skończywszy rozprawę o oziminie, której się umyślnie dla niej nauczył, zaczął w te słowa: „Droga panno Katarzyno -- jakże ja podzielam gust pani — i ja prawie kocham się w gospodarstwie...“ — „Szczególna rzecz, przerwała złośliwie panna Katarzyna, że ilu tylko panów tu u nas było, wszyscy w bardzo prędkim czasie tego gustu nabrali!“ — „Bo jakżeż go nienabrać, odparł zapalając się Ksawery, widząc panią tak szczerze pracującą i tak przy tem szczęśliwą, nieprawdaż?“ — „To prawda, że jestem szczęśliwą, ale bo też innego szczęścia nierozumiem.“ — „Tak? a jednakże droga panno Katarzyno, gdybyś pani to czuła co ja w tej chwili, możebyś nią i była?“ — „Cóż naprzykład? zdziwiona niby, zapytała panna Katarzyna. — „Gdybyś pani.... gdybyś pani raczyła.... wiedziała co to jest miłość — ja kocham panią, i nawet proszę o jej serce i rękę...“ — „Hm, hm, odkaszlnęła zagadniona, pan za prędko te rzeczy bierzesz, a ja za pomału może, ale powiem wręcz panu, że mi się wcale niepodobasz.“ — „Jednakże pani... wybełkotał przerażony Ksawery — ja miałem nadzieję...“ — A to zkąd mój panie? — ja nie myślałam nawet o tem. W tem wchodzi pan Wąsewicz wracający ze stodoły, całuje serdecznie Ksawerego, a nim ten odurzony mógł coś odpowiedzieć, już panna Katarzyna zabrawszy pierze i koszyk pospiesznie wyszła. Nadarmo dobroduszny papa kazał przynieść wódki i zakąsek, nadarmo rozgadywał się mówiąc o swej oborze, rozczulał mówiąc o fornalkach, Ksawery jak ścięty milczał i myślał. To żałował, że się pospieszył zanadto, to mu się zdawało że źle zrozumiał, to znowu nabierał nadziei, i w takiej to chwili porwał się z krzesła, ucałował gwałtownie ramiona p. Wąsewicza i rzekł: „Panie Dobrodzieju, ja chcę z nim pomówić o ważnej rzeczy.“ — „No cóż, cóżeś taki pomięszany, jak gdyby ci dwa woły padły, mówże.“ — „Panie Dobrodzieju ja kocham pannę Katarzynę, ja oświadczyłem się o jej rękę...“ — „No, ale cóż tak nagłego — odparł zbywając p. Wąsewicz — popijno wódki, spirytus czyściuteńki...“ — „Ależ Panie Dobrodzieju, ja kocham pannę Katarzynę i oświadczyłem się...“ — „No a cóż ona? zapytał nagle ojciec. — „Ona, ona właściwie jeszcze nic... ale też dla tego proszę pana Dobrodzieja o poparcie - przecież ja kocham, mam swój majątek, jakie takie wychowanie...“ — „Ależ mój rybeńko daruj, trocheś za blady, za szczupły, za chorowity, a to widzisz takie gospodarstwo, jakiebyś objął, potrzebuje zdrowia, ale zakąś no co, no przepijmy.“ Ksawery usłyszawszy to, wiedział że usłyszał swój wyrok, nie szczędząc więc już bynajmniej człowieka, który nie miał być jego teściem, pożegnał się krótko, obojętnie, dumnie wspominając, że mu się spieszy do księcia Władysława na zjazd obywatelski, na którym go czekają. Stary trochę to uczuł — chociaż rzecz zmiarkował, udając jednak jakby już o wszystkiem zapomniał, wsadził go do samej bryczki, ciągle zginając się w ukłonach, i zapraszając swego młodego sąsiada znów kiedy na łaskawą wizytkę. Ksawery znowu przejeżdżać musiał przez owo miasteczko — wstąpił więc do Majerka, który zaledwo spojrzawszy na skwaszonego młodzieńca, domyślił się wszystkiego. „Kiepski interes widzę Wielmożny Panie, hę?... musiał się pan trochę pospieszyć.“ — „Idź do djabła mój Majerku z taką pannicą — a toż to Herod baba, a głupia jak mój but.“ — „No proszę pana co to znaczy, głupia — tamta była panu za mądra — ta za głupia?“ — „Alboż ja wiem, mnie się już niczego nie chce.“ „Co mnie do tego, że się panu niechce, ale mnie się chce odebrać moje pieniądze, potargać pańskie kwity, no pan wie przecie jakie?“ — „Więc cóż mam robić, gadaj, od matki już ani grosza nie wytrzasnę, a potem jabym nawet niechciał.“ — Majerek się głęboko zamyślił. Po chwili błysnął oczami radośnie. „Wielmożny Panie, jest jeszcze jeden interes, i tą razą ja panu przysięgam, że go pan ubije — mam pannę ładną i także bogatą, a nie będzie robić żadnych ceremoniów.“ — „Daj mnie ty już pokój, już mam dość wstydu — dwa koszyki w tak krótkim czasie!“ — „Co to panu o koszyki, żeby ich było i tysiąc, koszyk jest koszyk, a panna jest panną — a jaka panna, aj jej!“ — „Jakaż znowu?“ — „Tu, wie pan w miasteczku powiatowem mieszka pan podsędek z córką panną podsędkówną; 100,000 to już jak chleb z masłem, a co? czy ja panu źle życzę?“ — „Daj mi ty pokój, ja znam tego łajdaka, co majątek zrobił z obywatelskiego nieszczęścia kruczkowym sposobem; — przed dwoma laty jeszcze biedną wdowę z trojgiem dzieci wygnał po prostu z jej wioszczyny.“ — „Co to Wielmożny Pan na takie głupstwo z pozwoleniem uważa, wygnał... wygnał: - jak w prawie stoi, że można wygnać, to dla czego nie ma wygnać? — a potem takie skrupuły to nie na tak oświeconego z pozwoleniem pana, jak Wielmożny Pan.“ — Ksawery się długo wahał, ale będąc słabego charakteru dał się namówić i postanowił wkrótce nową wyprawę przedsięwziąść.

Tymczasem wieść się rozeszła o dwóch jego niefortunnych konkurach, matka strapiona bolała nad tem najsrożej, a i od poczciwej ciotki miał długi serdeczny list podający mu rady, w którem i to życzenie było wyrażone, żeby się skłonił do jej przybranej córki Wandzi, z którąby niezawodnie spokój i szczęście znalazł. Ale Ksawery ani o tem słyszeć nie chciał, tem bardziej teraz zaciekłszy się zrobić według swego rozumienia dobrą partyą na złość wszystkim, niewiedząc biedak że najwięcej sobie robi na złość. Gryzł się złośliwemi pogłoskami, które mu przyjaciele zewsząd znosili, tłómaczył się niby ironicznie, sam się nawet brawurowo z siebie wyśmiewając; ale czuł najlepiej, że od owej fatalnej chwili, gdy mu Zosia powiedziała, że jest śmieszny, że był nim coraz więcej, — niedomyślając się że można go było nazwać jeszcze innym, jak śmiesznym. Na domiar strapienia zjechał się gdzieś w sąsiedztwie z dawnym swym kolegą Stasiem, który, zebrawszy wszystkie nowiny, z szatańskim dowcipem opowiedział mu jego własne przygody, jak np. gdy się go pytał czy to prawda, że p. Wąsewicz kazał mu przywieść świadectwa szczepionej ospy, i świadectwo silnej konstytucyi. Ksawery kręcił się jak wąż, odpowiadając kpinami, ale widział swoje stanowisko bohatera zakulisowego zkompromitowanem, a w czarnych chwilach, którym się teraz często oddawał, nawet swoją reputacyą naruszoną. Stetryczał, w każdym, zbliżającym się do niego, widząc nowego prześladowcę, w każdym najobojętniejszym czyimś uśmiechu tablicę, na której ogromnemi głoskami wyryte były jego wyprawy.

Gdy jednak Majerek raz po raz pisał listy z upomnieniami, postanowił się więc na ostatnie *Coup d' Etat* zdobyć. Tym *Coup d' Etat* było zawojowanie serca panny podsędkówny, Justyny, a raczej worków pana podsędka.

(D. c. n.).

Korespondencya z prowincyi.

(Zob. Nr 8 i 9).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Hej! hej! cóżeśto Waszmość najlepszego uczynił drukując w Niewieście swojej moją prywatną do Waszmości bazgraninę! Bodajbyś Waszmość za to u Niewiast nie miał powodzenia! Ale nie — niech przepadnie to, co wyrzekłem; byłoby to za srogo! zresztą nie wchodząc w sprawę affektów, i czyby się powodzenie Waszmości na co przydało, mógłbyś zbankrutować na swojem piśmie, a czego mu jako życzliwy sługa mojego Dobrodzieja wcale nie życzę. Owszem niech Waszmości sprzyjają niewiasty, a prenumerują jak najliczniej pismo jego. Ale zawsze niech Waszmość choć gęś kopnie nóżką, żeś mi tyle kłopotu wydrukowaniem mojego lichego listu narobił! jaki harmider w domu, jakie historye w całem sąsiedztwie, tegobyś nietylko na wołowej, ale i na słoniowej skórze nie spisał. Przyznam się Waszmości, że, w ten sposób skonfundowany, jużem był trochę na Waszmości zadąsany i poczynałem pokręcać wąsa; ale pomyślawszy sobie: wszakto jego rzemiosło, chwyta za wszystko, czemby czytelniczki swoje mógł zaintrygować; a widać że zna je dobrze, bo jak przeczytają taki list ze wsi, to dalejże się domniemywać, odgadywać, dopytywać, dorozumiewać ktobyto pisał, lub do kogo t. j. do której ze sąsiadek — bo żadna tego do siebie samej nie weźmie — ten lub ów w liście zawarty ogólnik stósować się może? Nie jedna, karmiąca się pożyczanem pismem, rozciekawiona, gotowa na własną kieszeń się zaprenumerować, spodziewając się w jakich dalszych listach, może i jakich ploteczek, skandalików etcetera. Więc czegoż tu dąsać się na Redaktora; zresztą w liście moim nie było nic zdrożnego; więc wielka rzecz że wydrukował, bodaj mu tylko na dobre wyszło. Tak ja sobie pomyślałem; a co najwięcej odpłacę mu się opisawszy mu to wszystko, czego list wydrukowany nawarzył. Ale nie tak moja Jejmość i moja pierworodna; bo młodsza moja córa to zupełnie moja natura, ta tylko figlarnie się uśmiechała do tej całej historyi — ale starszyzna zaczęła się bardzo na Waszmość Dobrodzieja srożyć wywodząc różne punkta w akcie oskarżenia przeciw Waszmości introdukowanym, co wszystko wraz z niefortunnym stanem, w którym ja jako *complex facti* się znalazłem, po krótce przynajmniej opiszę. Ale nie wiem, jak mi się to uda, bo już dawno zbierałem się do tego; to znów odłożyłem na czas sposobniejszy, a to Waszmość wiesz, że to tylko ser odkładany według przysłowia dobry i bigos odgrzywany smaczniejszy; ale nie myśli i koncepta, które zaraz chwytać należy jak tylko płyną do głowy, bo inaczej nie wiele warte — tyle chyba co flaszka węgrzyna, raz nadpoczęta a niewypróżniona odrazu honeste jak się należy. Jednak nie moja w tem wina — i stary Homer czasami zasypiał; a cóż dopiero ja uniżony sługa Waszmości prosty ziemianin nawet nie hreczkosiej, bo u nas nawet i hreczki siać nie można — chociaż wziąłem się do pisania, to szło jakoś jak z kamienia; to nie było weny, to przeszkadzało to lub owo, jak to na wsi przy gospodarstwie a raczej dzisiejszem kłopotarstwie często się zdarza, a w końcu uderzył w serce, ten niespodziany grom i przeraził je i rozdarł aż do najgłębszej głębi!

Pojmiesz więc mój szanowny Dobrodzieju, że to trudno było pisać o małoznaczących sprawach albo fraszkach! A chociaż ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, westchnąwszy pomyślałem: Niech będzie pochwalony Bóg praojców naszych i majestat jego święty! w jego ręku nasza przyszłość — bez jego świętej woli i włos z głowy nie spada, — znać że nie spełniona jeszcze czara do dna, że potrzeba tego była za wielkie grzechy nasze! — chociaż pomyślałem: „że nam to nie nowina, nie raz to pierwszy; oby tylko Bóg dał, żeby ostatni! to przecież, ile razy wziąłem pióro do ręki aby do Waszmości napisać, a podzielając się z uczuciem choć trochę sobie ulżyć, to zawsze ściskało mi się serce, do oczu łza gwałtem się napierała, a ręka bądź drżała, bądź konwulsyjnie ściskała pióro, że aż pękało; bo jedna tylko myśl, jedno tylko uczucie władało mną całym, uczucie nieokreślonego niemego bólu, który w tej chwili stłumiał i zagłuszał wszystkie inne działania duszy. Cisnęły się obrazy do wyobraźni, jęki do wytężonego zmysłu słuchu, wspomnienia straszne do pamięci — świat rzeczywisty zdawał się gdzieś całkiem znikać, pochwycone pióro łamało się pod ciężarem zbezwładnionej ręki, a dopiero po dłuższem takiem otrętwieniu wyrywała się modlitwa w ciężkiem westchnieniu, które zrozumie ten, dla którego nic nie ma skrytego, ten który zrozumiał wołanie Psalmisty: Panie w rozsierdziu Twojem nie swarz mnie, ani w gniewie twoim nie karz mnie!

Gdzieś tam w odległej starożytności z bólu i żalu wielkiego kamienieli ludzie i łatwo zrozumieć można ów wiersz naszego Czarnoleskiego Jana:

„Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała
Swoich najmilszych... patrząc, skamieniała!“

A ja czyż mogłem pisać mój drogi miły bracie, mój szanowny redaktorze i dobrodzieju!

Tymczasem bieg spraw zwykłych, codziennych jednostajnem toczył się kołem; trza było znów wejść na ubity tor zwykłych zatrudnień, z bytem i życiem całej rodziny tak ściśle połączonych. Prócz tego miały nastąpić wybory, rozwinęło się więc nieco życia obywatelskiego; zresztą i horyzont trochę się rozjaśnił i wiosna miła zawitała wcześniej — Bóg dał święta, wielką pamiątkę Zmartwychwstania, pamiątkę wielkiego zwycięztwa ofiary męczeńskiej krzyżowej nad potęgami piekielnemi — modlitwa szczera, dziecinna, spłynęła po duszy; — bo któżby na ziemi naszej nie był się gorąco modlił podczas świąt dopiero co minionych? Kilka sąsiadów zawitało do domu, na wzajem odwiedziło się pobliskich towarzyszy dobrej i złej doli i jakoś lżej zrobiło się na sercu i do duszy stroskanej spłynęło trochę nadziei i chwilowego przynajmniej uspokojenia.

Otóż w chwilach takiego wypoczynku i ja wspomniałem sobie o moim mościwym Dobrodzieju i próbowałem Waszmości bądźco donieść, bądź przynajmniej, kiedyśmy już poprzednio w jakieś stosunki ze sobą weszli, życzyć mu staropolskim naszym obyczajem wesołego Alleluja!

Doniosę więc po krótce jakiego to kłopotu nabawił mnie ów niefortunny list mój w Niewieście Waszmościwej wydrukuwany, a to kłopotu w domu i za domem. Za domem? Zapytasz może; tak jest, posłuchaj. Wyjeżdżam do miasteczka; był targ, spotykam znajomego, pozdrawiam, ale jakiś krzywy; pytam: co tam słychać? aż tu odbieram odpowiedź z widocznym przykąsem: „Nie wiem, mieszkam nad rzeką, podałbym chyba *wodnistą* wiadomość.“ Aha? przypomniałem sobie: pan brat obrażony — a to jeden z tych literatów co to nad jedną z rzek naszych mieszkając korespondencyą napisał? próżność literacka! rozumiem. — Ruszam dalej spotykam znów sąsiadkę; pytam o zdrowie, o męża i konsolacyą, dodaję coś o pogodzie; a ona troszkę zape-

rzona odpowiada: „Dzięki Bogu ładnie i ciepło — obchodzimy się już bez futer, które tak bardzo zwracają uwagę sąsiadów“. Zrozumiałem i ten przytyk: sąsiadka Dobrodziejka wzięła wzmiankę moją, w poprzednim liście o zbytkownych jedwabnych futrach uczynioną, do siebie i ztąd straciłem łaskę. – Oh źle! pomyślałem.— Zdarzyło mi się jeszcze kilka małych awantur, z owego niefortunnego listu wynikłych, ale je pominę, — Dość żem dopiero przy święconem jajku przebaczenie otrzymał. Takie to mniej więcej były sprawy zewnętrzne; jeśli nie zerwana, to przynajmniej zamącona trochę zgoda z sąsiadami, czegom się zląkł, bo ja z całym światem chciałbym żyć w zgodzie — nawet z urzędem podatkowym, a bardziej z moimi miłościwymi panami i Dobrodziejami, zacnymi sąsiadami i sąsiadkami. — A cóżto dopiero powiedzieć o sprawach wewnętrznych? o tem co mnie w domu spotkało? A Waszmość wiesz, że najstraszliwsze wojny bywają zwykle wojny domowe. Tutaj miała się rzecz trochę groźniej. Kiedy przybył ów złowrogi numer Niewiasty, w którym Waszmość bazgraninę moją wydrukowałeś, moja Jejmość której twój tygodnik, jako matce najpierw się dostaje, stanęła przedemną całkiem poważnie i wskazując *corpus delicti* rezolutnie zapytała: Co to ma znaczyć mój mężu? na co to wydrukowali? Jam cię prosiła, abyś tylko napisał sąd nasz i życzenia dla pisma naszej płci poświęconego, a tu nasze myśli i chęci wydobyto na jaw i sprofanowano przed światem! Pomyśli kto, żem tego chciała, żem taka próżna — wezmą mnie i dzieci nasze na języki, i miło ci to będzie? Zamyśliłem się trochę, jakby tu z tego kłopotu wybrnąć? i nie tracąc fantazyi odpowiedziałem: Cóżem temu winien; jam o to nie prosił — sam list mój wydrukował. Znać zdawał mu się godnym druku, kiedy to zrobił. Ale cóż ci znowu moja Basiu? Ktoby cię posądzał o próżność, kto cię choć trochę zna, i któżby tam zaraz brał nas na języki? Czy to zaraz mają wiedzieć, że to ty jesteś? Albożto nie ma matek tego samego imienia w okolicy? A na to odpowie moja Jejmość: Gadaj sobie zdrów mój mężu! a imion córek naszych nie wymieniłeś? czy każda Basia koniecznie musi mieć córki Jadwigę i Wandę? a nie napisałeś, żem była u ś. p. panny Łanieckiej na pensyi; a wieleżto jest tu nas w okolicy jej uczennic? Do tego chwaliłeś się publicznie wdziękami twej córki, posądzi nas kto, że ją przez pisma na targ wystawiamy! A nie przypominasz sobie mój Jasieczku drogi! cośmy to sami na to powiadali, gdy gazety nasze donosiły nieraz, że tam w Paryżu albo w Rzymie, albo w tych lub owych kąpielach odznaczyły się między wszystkiemi Polki A, B, itd. — albo jak tam gdzieś na jakimś słowiańskim balu w Wiedniu brylowała Polka, żona jakiegoś tam byłego posła – albo jak na wystawie bydła w Tarnowie odznaczyły się jakieś panie X. i Y. i panna Z. i tym podobne brednie? nie gorszyło nas to, że już do tego przyszło, że o kobietach i ich wdziękach publicznie po pismach bazgrzą, jakby to był towar jaki, że jeszcze w końcu gotowi urządzić wystawę powszechną, na której przedstawiać się będą europejskiej publiczności do wdzięków pretensyą mające kobiety! A cobyto na to powiedziała była która z tych oto prababek naszych, co z tych zczerniałych obrazów na nas poglądają! na taką profanacyą wstydliwości i skromności niewieściej! Czy fiołek nie piękny chociaż się pomiędzy trawkami kryje? a stare przysłowie ono, że ta najlepsza kobieta, o której jak najmniej w świecie słychać, czy już straciło swą prawdę? Jeszcze nas posądzą, powtarzam, że się chcemy pozbyć co rychlej córek z domu rodzicielskiego, chociaż im się wcale nie spieszy? Wierzę w to, co im Bóg przyznaczył, a zresztą o nic się nie troszczę; bo choćby zostały staremi pannami, to wielka rzecz? wychowywałam i wychowywam je tak, żeby umiały być pożytecznemi i w tym stanie niegdyś tak szanowanym, dokąd się płeć nasza sama szanować umiała, a nie wystawiała na śmieszności. Dziej się we wszystkiem wola boża!“ A do tych słów w ferworze wyrecytowanych, dodała rozżalona moja pierworodna: a widzi tatka kochany, jakie to nieszczęście!— i w bek co się zowie. Przyznam się Waszmości żem stał trochę skonsternowany, bo płaczu szczególniej kobiecego znosić nie mogę, bo mnie samego za serce chwyta — po chwili jednak odrzekłem: Ależ uspokójcie się! nie ma żadnego nieszczęścia. To rzecz inna pisać po gazetach o wdziękach jakichś tam pań lub panien, kiedy to jaki najęty bazgracz albo dworak pochlebca, lub filut galant pisze, a zupełnie inna, jeśli sercu ojcowskiemu wyrwało się *in camera caritatis* i napisał jakby do przyjaciela o wdziękach swojej pierworodnej. Pomyśli nie jeden: poczciwe i dobroduszne ojczysko — każda liszka swój ogon chwali i basta! Nie martw się moje dziecię! nie takieto wielkie nieszczęście, daj Boże żeby cię nigdy większe nie spotkało! Zresztą zrobił to ten wasz Richelieu, ten wasz mąż stanu, ten wielki minister rodu niewieściego, któregoście tak niedawno pod niebiosa wynosiły — wasz pan Redaktor! on to wydrukować kazał; do niego więc się weźcie; ale cóż ja temu winien? — kowal zawinił a ślusarza powiesili. Zresztą to człowiek roztropny, bo inaczej nie byłby redaktorem spraw niewieścich, musiał więc uważać za stósowne i pożyteczne umieszczenie w piśmie naszego listu. Ot dajcie poczciwemu człowiekowi pokój, ma on zapewne z wami dość kłopotu, jak ze wszech stron zacznie żądać od niego jedna tego, druga owego, a trzecia jeszcze czego innego; a tymczasem to trudno wszystkim wam dogodzić; lepiej mu Jejmość udziel znów jakich uwag i życzeń, o których już czasami poprzednio radziłyście między sobą! Tymczasem Jejmość moję oderwały sprawy domowe, i na tem przerwać musiałem... aby już nie zaraz niedokończyć! Bo znów uderzył grom nowy straszniejszy, nowy dopust boży w serce nasze narodowe! Leżał tak dni pary list niniejszy całkiem zapomniany, aż dziś spostrzegłszy go, zapytałem żony co z nim zrobić. Odrzekła mi moja droga Basia: Napisz mu mój Jasieczku kochany! niech ostrzeże niewiasty polskie, aby się opamiętały! niech się wyrzekną wszystkiego co serce ich odrywało i odrywa od Matki naszej najdroższej! niech się przejmą skruchą i pokorą! niech powrócą do zwyczajów i obyczajów prababek cnotą jaśniejących! — Niech je ostrzeże, aby nie goniły za pozorami i dzieci swe od tego odzwyczajały; bo to czas niezapustny, ale wielkiego postu i żałoby, i miłość głęboka niech będą przedewszystkiem w duszy i sercu, i niech się objawiają w życiu czynami godnemi dotkniętych wielką boleścią! Napisz mu, niech zawezwie wszystkie niewiasty polskie do szczerej gorącej modlitwy! niech się modlą staruszki bliżej sądu pańskiego stojące! niech się modlą matki, niech się modlą dziewice i dzieci! niech się modlą niemowlęta nawet! co rano i wieczór matki niech złożą im rączki i modlą się w imieniu tych niewiniątek do pana Zastępów! Niech się zwyczajem dawnym polskim modli dom cały! Gospodarz z żoną, z dziećmi, z czeladką swoją niech modlą się razem! Jest pośredniczka, patronka nasza, Matka nasza niebieska! W każdym domu zawiesić obraz Jej słynący łaskami z Jasnejgóry — zapalić lampę i co wieczór prosić spólnie, aby się wstawić raczyła ta Matka do Syna swego, modlić się modlitwą tą prostą, którą się modlili ojcowie nasi, po której Bóg im szczęścił, dokąd się szczerze modlili! a tak co wieczór w zaciszy

domowej, a nie po rozstajnych drogach niech się modli całem sercem i duszą cały naród, jak uczy nas modlić się kościół nasz święty: Przed oczy Twoje Panie! a Bóg zlituje się i pocieszy w strapieniu!

Tyle moja droga Niewiasta. A mnie nasunęły się pomimowoli wiersze, które mi nieraz córki recytowały:

I krew spłynęła! I znów ni śladu
Po strasznej męce, po strasznej łzie...
A noc tak cicha — liść winogradu
Po mojem oknie wiotko się pnie.
I białe brzozy tam stoją w rzędzie,
Drzemiące głowy ku ziemi gną —
A tam przy brzegu marzą łabędzie
O gwiazdach spadłych na wody dno...
I woni ziemia, i płoną zorze...
Mój Boże!... mój Boże!

Żegnam Waszmości Pana a mego mościwego Dobrodzieja serdecznem pozdrowieniem chrześciańskiem: Niech będzie pochwalony!

J....
znany Ziemianin z ziemi krakowskiej.

14go kwietnia 1861 r.

WIADOMOŚCI
Z HISTORYI NATURALNEJ,
z poglądem
na użytek gospodarski.

Ciąg dalszy.

Wyprawianie futer.

Tu będzie może nie od rzeczy wspomnieć, jak sobie kuśnierz z wyprawianiem futer postępuje, przyczem (rozumie się) tylko ogólny zarys owej procedury napomknięty będzie.

Futro naprzód się na stronie od mięsa odjętej sadłem i olejem naciera, a potem wkłada stronę włosami pokrytą do deptaka, gdzie się je przez kilka godzin ustawicznie depce. Następnie obmywa się je ze strony gołej rozczynem ostrym ze soli, skrobakiem się dobrze oczyści i do naczynia metalowem dnem zaopatrzonego wkłada; w którem to naczyniu z dołu ogrzanem znów się je depce, przewracając je przytem należycie między trocinami, otrębami lub mięszaniną z piasku i gipsu w celu odjęcia im tłustości. Tak wymięte, wyjmują się z deptaka, trzepią i skrobią powtórnie, a po wyczesaniu odpowiedniem włosa, suszą się nakoniec.

Niektóre runa, nemające takiej naturalnej barwy, którąby gustowi ogólnemu odpowiadała muszą się dopiero osobno barwić. Aby włos futra przyjął barwę, musi być poprzednio preparowany za pomocą tak zwanej bejcy (tan, macer, gryząca przyprawa złożona z glejty (białokruszu), salmijaku, drzewianego popiołu, potażu i moczu. Tą mięszaniną smaruje się włos kilkakrotnie z pomocą stósownego penzla, potem się suszy i trzepie. Barwienie zaś uskutecznia się przez dębianki (galas), które w drzewnym oleju wyprażone, a potem na proch starte w wymienionym celu używane bywają.

Z pomiędzy gryzoniów najważniejsze zwierzęta:

Jeżozwierz, którego mięsa za pokarm, a kolców za rączki do penzlów i piór żelaznych używają.

Skrzeczek, niszczy bardzo pola zbożowe, lecz ma niezłe futerko.

Bobak, daje dużo tłuszczu, mięso jego pożywne, i runo piękne.

Wiewiórka, alpejski zając i *królik* także nam użyczają futerek.

Królik angorski ma włos długi, do jedwabiu podobny; który często między jedwabiem i bawełną na wspól wyrabiają.

Bóbr, daje ładne i kosztowne futro; z którego włos na drogie kapelusze użyty bywa. Ten zwierz dostarcza nam *stroju bobrowego;* a jego mięso się spożywa; ogon zaś i łapy mają być łakocią.

Zając, królik pospolity, mysz i *szczur* każdemu znane.

Wyrabianie kapeluszy.

Z sierci bobrowej, zajęczej, króliczej, jako też i z wełny wyrabiają kapelusze. Lecz dla wysokiej ceny sierci bobrowej nader rzadko robią kastorowe kapelusze. Te zaś, które pod nazwiskiem kastorowych kupujemy wyrabiają z sierci zajęczej mięszanej z delikatną wełną. Postępowanie przy wyrabianiu rzeczonem jest następujące: Wybiera się włos cienki, miękki i wełniasty. Za pomocą stósownej szczotki i (lejcy) roztworu, który się z rozpuszczonego w serwaserze żywego srebra składa, należy naprzód włos taki zczochrać; a gdy się ten włos ze skórek zbierze, wyczyści i rozgatunkuje, trzepie się go na lasach czyli kratach, a to częścią dla spulchnienia, częścią zaś dla wykurzenia pyłu i innych nieczystości. Następnie grempluje się gręplami, a potem dla zupełnego rozpulchnienia roztrząsa się strzępakiem, (stroną na łuku wyprężoną *l' arçon*) i układa się w trójgraniaste płaty miękkiej pilśni. Taki płat zowie się kwaterą, a cztery kwatery potrzebne na jeden kapelusz, które muszą być pilśnione, t. j. za pośrednictwem wilgoci i ciepła skupione, ugniecione i ubite, póki się z nich tęga pilśń niezrobi, a gdy to nastąpi, wtenczas składają brzegi proste dwóch kwater jeden z drugim; zawinięte we wojłaku pilśnią znowu w celu urobienia czapki, kształtu ostrokręgowego. Na tak urobioną czapkę, kładą znowu dwie drugie kwatery, (albowiem bez tego kapelusz niemiałby odpowiedniej tęgości), i pilśnią tym samym sposobem za pomocą wilgoci i ciepła; przez co się włos skupi i w jednę masę spoi.

Po ukończeniu powyżej opisanego postępowania należy potem te kończastą kapeluszową czapkę jeszcze folować t. j. namaczać ją w wodzie z octem lub kwasem winnym i piwem zmięszanej, okręcić koło wałka i przez jakiś czas wałkować.

Następnie nadaje się kapeluszowi właściwą formę, rozpychając go na drewnianej głowie odpowiedniego kształtu, z pomocą stósownych metalowych stęporów; (co się wydłonianiem zowie), a po wysuszeniu chędoży się go, wyciera pomexem i kosmaci, aby tem lepiej przejął się barwą. Naostatek dobrze barwi się go, gumuje klejem i karukiem, wyczesuje się szczotką i obszywa.

Na ordynaryjne kapelusze biorą grubą wełnę owczą i kozią, jako też sierć psią i cielęcą.

Koń, swą użytecznością za nadto nam służy, i zanadto znany, aby cnoty jego bliżej wymieniać było potrzeba. Najwięcej używany do pociągów, do noszeniu jeźdźca i ciężarów. Niektóre narody spożywają końskie mięso, i przyprawiają z mleka klacz odurzający napój, *kumis* zwany. Skóra końska rozliczne ma w rękodziełach zastósowanie. Włósień służy do wyrabiania włośców (włosiennic, *l' étamine*), do wypychania poduszek, mebli, materaców i t. d. do sit, smyczków i t. p. Tłuszczu końskiego używają do smarowania skór, a ścięgnów i kości na klej.

Osieł (rodzaj konia), jest zwierzęciem bardzo użytecznem. Prawie do noszenia ciężarów przeznaczony, jest bardzo cierpliwy; stąpa ostrożniej i pewniej od konia, dla tego w górskich podróżach nader znaczne czyni usługi; przytem zadowala się lichą strawą, bo słoma i oset wystarczają mu za pokarm. Mleko oślicy jest bardzo strawne i pożywne, dla tego osłabione osoby używają go dla nabrania sił. Ze skóry robią pargamin, błony do bębnów i trwałe obuwie.

Muł, wspólnie z końskiego i oślego pochodzący rodu, niewiele bywa zamiast konia używany. W Hiszpanii najczęściej tego gatunku zwierzęta widzieć można.

Z rodzaju zwierząt odżuwających prawie największą część przyswoił sobie człowiek, żywiąc się ich mięsem, mlekiem i tłuszczem, używając do okrycia i do sprzętów ich skóry, włosów, wełny, rogów i kopyt, a nadto do uprawiania roli ich nawozu.

Wielbląd, jest dla Araba najporządańszem zwierzęciem domowem, bez niego bowiem nieobszedł by się w swoich podróżach po puszczach Afryki. Jego gęste, lepkie mleko służy do pożywienia, włos na odzienia, a skóra osobliwie na bukłaki i szawłoki. Łój daje bardzo dobre świece. To zwierzę żywi się nędzną strawą, bo mu zwykle oset, a w puszczy tu i owdzie rosnące ciernistе zarośla (krzewiny), do pożywienia wystarczają. Z tego względu dziwić się wypada, że go u nas między domowe zwierzęta nieprzyswojono; zapewne przeszkodą do uzyskania tak korzystnego nabytku jest ta okoliczność, że koń wielbłąda znosić nie może. *(C. d. n.)*

Wiadomość literacka.

Zubowski Kasper, autor „Dworu pańskiego" i niedawno wydanej komedyi pt. „Ciocia Swatka", napisał i wydał nową komedyę w 4 aktach pt. „Rzemieślnik". W komedyi tej odnosi tryumf cnota i praca nad upstrzoną nicością niby wyższego świata. Rzemieślnik, prawością charakteru, swoją wyższością moralną, w walce o rękę córki właściciela fabryki, zwycięża marnującego życie i majątek dla próżności hrabiego i wszystkich jego nadwyrężonej kieszeni asystentów. Słusznie bardzo zauważano w *Czasie*, iż komedya ta pokazać się może w zasłużonem świetle dopiero na scenie, ale cóż? my się tego tak prędko po naszej Dyrekcyi spodziewać nie możemy — wiadomym bowiem jest nam *wstręt* jej do wszystkiego, co nie wypłynęło z pod pióra rozgłośnego autora, lub przynajmniej uwieńczonego na konkursie.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk., Antoni Rother.